

WOJENNA TUŁACZKA RODZINY KOSZCZYŃSKICH¹

Gdy wybuchła wojna, miałam 4 lata. Mieszkałam z rodzicami i trzema siostrami w Czeszewie pod Wrześnią, gdzie ojciec mój, Zygmunt Koszczyński, był kierownikiem szkoły. Czteroletnie dziecko dużo zapamiętało, ale nie wszystko rozumiało. W sierpniu 1939 roku ojciec został zmobilizowany – był pod Kutnem. Opowiadał o nalotach, ale zdrowy powrócił do domu. Wtedy nie zauważałam nieobecności ojca. W szkole, w której mieszkaliśmy, byli „goście” – krewni z Leszna, którzy przyjechali na wieś przeczekać (5-6 osób). Rodzice bali się i zakopali w kilku miejscach skrzynie i kosze z cennymi rzeczami.

30 listopada 1939 roku byłyśmy z siostrami na imieninach Andrzeja w sąsiedztwie. Pamiętam, jak przybiegła po nas Zosia – nasza piastunka. „Szybko, szybko ubierajcie się, bo wyjeżdżacie” – powiedziała. W domu niemieccy żołnierze, przed szkołą powózki. Najmłodsza siostra Jadzia miała wtedy rok. Nie rozumiałam, co się dzieje. 20 minut na przygotowanie sześciu osób do podróży. Niemcy krzyczą. Ostra wymiana zdań (rodzice biegle mówili po niemiecku). Jeden z Niemców chodził od szafy do szafy – zamykał i zabierał klucze. Inny mamie wyrwał pierzynę. Ojciec zdołał zabrać tylko dokumenty i obligacje. Zosia nie straciła głowy. Miała wtedy 15 lub 16 lat. Do worka z pierzyną włożyła świeżo upieczony wiejski okrągły bochen chleba. Pobiegła do dziecięcego pokoju na piętrze, wyrzucała przez okno ubranka, które potem przykryła beczką. W nocy zabrała i potem przysłała nam paczki do Radomia. Mama dała mi w rękę parasol, myśląc, że to torebka (miały takie same łańcuszki za rączki), w której pewnie były pieniądze i dokumenty. Niemcy cały czas popędzali. Cztery małe dziewczynki i rodzice w sypialni. Mama kazała uklęknąć i razem zmówiliśmy *Pod Twoją obronę...* Niemcy na to pozwolili.

Wieść o wysiedleniu nas rozeszła się szybko po wsi. Ludzie stali przed domami i żegnali nas. Jechaliśmy przez całe Czeszewo do Orzechowa. Pewne wydarzenia, o których piszę, znam z relacji mamy (rodzice moi zmarli

¹ Dorota Lisewska od czterdziestu lat związana jest z ziemią gostyńską. Pracowała m.in. w Szkole Podstawowej w Żytowiecku. Niniejsze wspomnienia powstały na podstawie notatek jej matki, Ludomiry Koszczyńskiej.

ponad 30 lat temu i nie mogę już pewnych zdarzeń ustalić). Ktoś przywiózł na dworzec kolejowy w Orzechowie mleko dla najmłodszych. Punkt zborny wysiedleńców wyznaczono w Miłosławiu. Pamiętam, że spaliśmy na słomie w dużej stodole czy szopie w towarzystwie bardzo wielu ludzi. Do Generalnego Gubernatorstwa jechaliśmy bydłecymi wagonami. Było bardzo ciasno i ciemno. Przed załadowaniem nas oddzielono mężczyzn od rodzin. Tatuś zabrał ze sobą moją siostrę Łucję, a mamusia miała pod opieką troje dzieci. Najstarsza Halinka miała wtedy 8 lat.



Rodzina Koszczyńskich w Czeszewie (1938)

Niemcy jeszcze nie byli dobrze zorganizowani – wozili nas trzy dni. Jechaliśmy przez Częstochowę i inne miasta, które nie chciały przyjąć wysiedleńców. Pociąg stawał w polu. Wtedy wolno nam było wyjść i załatwić potrzeby fizjologiczne. Mamusia biegała wzdłuż wagonów, szukając ojca –

nawoływała go. Chciała się upewnić, czy jedzie w tym samym transporcie. Małe dziecko płakało, było głodne. Gdy zabrakło już słodkiej wody, którą podgrzewała nad świeczką, mamusia na kolejnym przystanku pobiegła do chaty oddalonej od torów po mleko. Niemcy byli bezwzględni i mogło się to skończyć tragicznie. Gdy wracała, pociąg ruszył. Resztkami sił dotarła do ostatniego wagonu, do którego wciągnęli ją Polacy. Na kolejnych postojach przemieszczała się i odnalazła swój wagon i dzieci. Okna w wagonach zabito deskami. Nikt nie wiedział, gdzie jedziemy. Wyjeżdżając na wojenną tułaczkę, całkowicie oddaliśmy się w opiekę Matki Bożej, która nas szczęśliwie prowadziła przez całą wojnę.

Dojechalśmy do Radomia. Był wieczór – ciemno. Na bocznicę wysiadaliśmy w zgiełku i zamieszaniu. Niemiecka mowa, szczerzenie psów i te reflektory! Było raz ciemno, raz jasno. To lampa, która kręciła się i oświetlała różne części peronu. Zjawili się tam na bocznicę mieszkańcy Radomia, którzy, ryzykując życie, wołali szeptem: „Chodźcie za nami do kościoła”. Byliśmy już całą rodziną. Mamusia niosła małą Jadzię, a ja trzymałam się płaszcza mamy. Bałam się, że się zgubię. Niosłam na plecach szkolną torbę z pieluszkami. To było dla mnie za ciężkie. Niemcy przeganiali ludzi, nie wiemy dokąd. Nam udało się pójść do kościoła. Umożliwił to reflektor, który właśnie oświetlał przeciwną stronę. W kościele Mariackim w Radomiu czekały na wysiedleńców panie z gorącą, słodką kawą i propozycją noclegu. Jacy dobrzy ludzie! Zabrali dwie rodziny sześćosobowe. Spaliśmy na podłodze, ale w domu, otoczeni opieką. Jak dziś pamiętam – ojciec zdejmując kurtkę (nazywał ją burka), wyjął z kieszeni paputki dla nas, które pewnie włożyła zapobiegliwa Zosia. Po trzech czy czterech dniach mogliśmy zdjąć buciki.

Po dwóch dniach dostaliśmy lokum na przedmieściu Radomia. Opuszczony domek – jeden duży pokój i kuchnia. Zamieszkaliśmy razem ze znajomymi z Wrześni czy Miłosławia, z rodziną Promińskich. Dwanaście osób spało na słomie. Brakowała sprzętów. Niewielki stół ojciec zbił z desek – odpadów na opał. Tato szukał pracy jako nauczyciel (przydały się zabrane dokumenty), ale zanim ją rozpoczął, szybko się wycofał ze względu na bezpieczeństwo. Przydała się pierzyna, która przykrywała czworo dzieci. Była zima. Dokuczały kłopoty finansowe. Czułam się jednak bezpiecznie. Tatuś z nami dużo śpiewał, bawił się, gdy mama organizowała środki do życia. Po prostu prosiła ludzi przed kościołem o wsparcie. Wielu odwracało się, mówiąc: „Taka bogata, a wyciąga rękę i prosi o jałmużnę”. Mama ubrana była w piękny szary płaszcz z karakułowymi dodatkami. Nie do wszystkich ludzi w Radomiu docierały prawdziwe wieści o wysiedleniach z Wielkopolski. Uważali, że jeśli nas wyrzucili z domów, to zrobiliśmy coś niegodziwego i jesteśmy przestępcami. Dziwnie zapamiętałam słomiane legowisko, bo tu

spędzaliśmy większość dnia i nocy. W domu tym nie było elektrycznego światła. Pokój oświetlała uliczna latarnia.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia (wiem to z późniejszej relacji rodziców). Z Czeszewa, Orzechowa i Miłosławia wysiedlono inteligencję. Wsiedleńcy byli solidarni. Odszukał nas właściciel Zakładów Drzewnych w Orzechowie pan Bystrzycki, który z racji świąt przyniósł słodczyce i pewnie jakąś kwotę pieniędzy. Tatuś dziwnie się czuł, odbierając to wsparcie. Pamiętam to, choć wtedy nie rozumiałam, o co chodziło. Był placek z makiem, orzechy, a mama gotowała w kuchni zupę w puszcze od ogórków. Nie wiedziałam, dlaczego dorośli są smutni i płaczą. Mieszkaliśmy przy ulicy Dzikiej. Mama była zaradniejsza. Odszukała punkt Caritasu i otrzymaliśmy pomoc – gorącą zupę dla sześciu osób.

Rodzice władali językiem niemieckim i to pewnie pomogło w załatwieniu następnego mieszkania. Zamieszkaliśmy przy ulicy Żeromskiego, w pokoju pewnej Żydówki z dziećmi. Dalej pomocą była zupa z Caritasu, kawa i chleb. Tatuś dostał pracę na lotnisku jako tłumacz. Chodził pieszo po kilka kilometrów, a zima była ciężka. Pamiętam kolację, do której mama grzała kawę w piecu kaflowym. Otwierała drzwiczki i wkładała garnek na gorące węgle. Wieczorem wspólnie się modliliśmy. W odstąpionym przez Żydówkę pokoju był tapczan. Tatuś zdjął część tapicerowaną i zrobił dwa legowiska. Na ulicy Żeromskiego mieszkaliśmy krótko. To była jedna z reprezentacyjnych ulic miasta. Pewnego dnia Niemcy zabrali żydowską rodzinę do getta, a nas po prostu wyrzucili. Było potrzebne jasne dwupokojowe mieszkanie z balkonem dla rodziny niemieckiej. Rodziców nie było w domu i Niemcy wyrzucali nasz niewielki dobytek oknem na podwórko. Nie pamiętałam dokładnie tego zdarzenia. Opowiadała mi szczegółowo starsza siostra Halina. Czują się odpowiedzialna za trzy młodsze siostry.

Rodzice w pośpiechu szukali nowego dachu nad głową. Zaczął zapadać zmrok. Zainterесowała się nami żona stróża i przygarnęła na noc. Mama, bardzo dzielna, wchodziła do kolejnych domów aż natrafiła na Dom Macierzy Szkolnej (tzw. Książnicę). Tam zamieszkaliśmy w połowie kuchni, z której korzystali inni mieszkańcy. Ludzie w czasie wojny byli bardzo życzliwi. Ja chodziłam spać do obcej sąsiadki. Dostaliśmy żelazne łóżko dla dwóch sióstr, a rodzice spali na stołach, które w Książnicy były dostępne.

Ojciec dalej chodził na lotnisko. Najważniejsze, że miał pracę i dokumenty. Odważył się raz oszukać Niemców i skierował jedną furmankę z ziemniakami do naszego domu. Gdyby ktoś doniósł, byłoby po nas. Brakowało chleba, który był na kartki, i środków na chleb. Mieliśmy więc co jeść. Codziennie na kolację były placki ziemniaczane pieczone na blasze „kozy” – pieca, który stał na środku kuchni i rurą ogrzewał. Na placki mówiliśmy „lantroty”. Na śniadanie była prażucha – gęsta potrawa z czarnej mąki. Tatuś w wolnych chwilach uczył nas wierszyków, a mama szyła ręcznie, ce-

rowała, bo to była już druga zima na wysiedleniu. Niemcy wydawali bony na materiał, raz na dwa lata. Starsze siostry rosły i nie miały płaszczy na zimę. Z kupionego materiału mama uszyła śliczne płaszczyki dla Halinki i Luci. Sąsiedzi z podwórka pozwolili przesyć trochę na maszynie, ale większość mama szyła ręcznie. Paczkami wspomagali nas: Zosia z Czeszewa, ciocie Fela i Tola – siostry mamusi. Ciocia Fela i babcia z Rogoźna szyły ubranka. Korespondencja pomagała pewnie rodzicom żyć. Pewnego razu przyszła bardzo duża paczka. Była to blaszana jakby beczka wypełniona produktami żywnościowymi, a w nich dużo mąki, w której były butelki z rozbitymi jajami. Paczka przyszła z Lubelskiego od znajomych, wysiedlonych tam czesze-
wiaków – państwa Donajów. Pan Donaj był dzierżawcą gospodarstwa Budy koło Czeszewa. Mama zrobiła dużo makaronu, upiekła ciasto i ugotowała „nawarkę” – zupę z kluseczkami.



Ochronka Caritasu w Radomiu (1940)

Z tamtego mieszkania chodziłyśmy już do ochronki, po dwie siostry na dwie zmiany, przed i popołudniu. Chodziłam z Lucią, a Halinka z Jadzią, którą się opiekowała. Lubiłam tam chodzić. Dostawałyśmy równe fartuszki z długim rękawem i białe sztywne, pewnie krochmalone, kołnierze. Z ochronki pamiętam opiekunkę, panią Terenię. Dostawałyśmy ciepłe posiłki (pyszne kluseczki à la kopytka z masłem i cukrem), także tran – kolejno otwierając buzie podchodziłyśmy do opiekunki, która tą samą łyżką podawa-

ła lekarstwo. Przekąskę stanowił kęs chleba z solą. Przeważnie odbierała nas mama. Zdarzyło się raz, że wracałam sama z koleżanką. Wybrałyśmy inną drogę, zbierając małe zielone kasztanki i zapalki, aby zrobić zwierzątka. Podobno były poszukiwania Dorotki i przykazanie posłuszeństwa. Byłam zdziwiona, dlaczego dostawałam burę. Przecież tyle ciekawych rzeczy nazbierałam i tak się cieszyłam.

Rodzice starali się o większe mieszkanie, które w końcu przydzielono nam przy ulicy Słowackiego 18, bardzo blisko wiaduktu kolejowego. Nasz pokój, wprawdzie duży, był przechodni. Kolejna czteroosobowa rodzina mieszkała w jeszcze mniejszym. Rodzice zabrali z Macierzy Szkolnej stojący wieszak, który zastępował szafę i przegradzał częściowo pokój. Zabrali też stół i krzesła. Łóżka tatuś zbił z odpadów drewna na opał. Pamiętam ławeczkę, którą tatuś zrobił dla nas i szafę kuchenną ze skrzyni. Kuchnia była wspólna i bardzo zimna. Był zlew i woda bieżąca, i pełno karaluchów, które wychodziły, gdy zapadał zmrok i spadały z wiszącego w kuchni prania. Mieszkanie pożydowskie było zapluskwione. Pluskwy zadomowiły się pod tapetami, a potem w szczelinach łóżek. Najbardziej dokuczały Halince i tatuśowi. Co jakiś czas rodzice robili „operację” i środkami, na które ich było stać, niszczyli insekty.



Zygmunt Koszczyński dobrze znalazł się na pszczelarstwie

Tatuś zmienił pracę. Ponownie pomogła doskonała znajomość języka niemieckiego. Niemcy propagowali rozwój pszczelarstwa, na którym ojciec

dobrze się znał. Został instruktorem pszczelarskim na Dystrykt Radomski. Pracował w terenie, organizował kursy. Miał przepustkę i zezwolenie na taką pracę. Dostał też rower. Czasem wyjeżdżał na jeden, dwa, a nawet trzy dni do odległych wsi. Pszczelarstwo stało w owym czasie na tamym terenie na bardzo niskim poziomie. Aby zmobilizować Polaków do większej hodowli, Niemcy skupowali miód nie za pieniądze, a za cukier w stosunku 1:3 (1 kg miodu za 3 kg cukru). Tatusz też założył pasiekę u jednego z pszczelarzy w Rajcu – 7 km od Radomia. Od tego czasu sytuacja bytowa poprawiła się. Mielśmy cukru pod dostatkiem. Wyjazdy na wieś sprawiły, że przywoził czasem inne wiktuały, narażając się jednak na rewizję żandarmów. Na bagażniku woził małą walizeczkę z gazetkami pszczelarskimi i pomocami do wykładów. Czasem pod gazetkami było mięso. Potem oprócz walizki nosił plecaczek uszyty przez mamę. Przy jednym legitymowaniu okazało się, że w plecaku był indyk. Wiele razy klękałyśmy z mamą do pacierza, gdy wieczorem długo tatusz nie wracał. Rodzice nie wtajemniczali mnie wtedy w szczegóły.

Z racji zajmowania się propagowaniem pszczelarstwa w Generalnym Gubernatorstwie rodzice podjęli się wytwarzania węzy dla pszczół, oczywiście zgodnie z niemieckimi przepisami. Ojciec przed wojną w swej pasiece w Czeszewie miał walcę – maszynę, pewnie podsunął pomysł władzom, aby „pomóc” rozwojowi pszczelarstwa. Pszczoły nie traciły czasu na wytwarzanie komórek do magazynowania miodu, ale znosiły go. Od wczesnej wiosny z dalekich zakątków powiatu zjeżdżali do nas pszczelarze. Niektórym sąsiadom to się nie podobało, zazdrościli i donosili na gestapo. Mama prowadziła zeszyt, bo znała się na księgowości, ale oczywiście oszukiwała Niemców. Pewnego razu przyszło dwóch żołnierzy z psem. Sąsiadki opowiedziały o najściu. Nikogo nie było wtedy w domu. Gdy mama wróciła, zobaczyła górę mięsa. Nie zdejmując płaszcza, zaczęła je kroić na mniejsze kawałki i chować w różne zakamarki, na przykład pod węgiel, za worki z ziemniakami itp. Niemcy przyszli drugi raz i zaczęli sprawdzać zezwolenie i „księgowość”. Pouczyli, aby staranniej prowadzić zeszyt, który był od wosku poplamiony. Mama też umiała po niemiecku. Nie było rewizji. Całe szczęście. Pszczelarze za węzę płacili w naturze. Przy produkcji węzy ja też uczestniczyłam. Pracowały cztery osoby. Pierwszy etap to topienie wosku i odlewanie grubych 1-1,5 cm plastrów do rynienek, które po wyschnięciu były maczane w kotle z gorącą wodą. Tatusz wkładał między walce, mama nawijała na wałek. Dwie córki smarowały walce (dolny i górny) wodą z mydłem. Ja byłam mała i na „ryczce” u stóp mamy siedziałam i mydliłam. Ktoś musiał kręcić korbą. Robił to tatusz. Długie plastry 3- lub 4-metrowe układano na desce, która oparta była na dwóch łózkach starszych sióstr.

Rodzice rozmawiali po niemiecku wtedy, gdy my nie mieliśmy słuchać. Nigdy jednak nie nauczyli nas tego języka. Uczyli się za młodu w szko-

łach, gdzie językiem wykładowym był język niemiecki. Tatuś ukończył Seminarium Nauczycielskie w Rogoźnie. Mama urodziła się w Niemczech w Rottenburgu. Tam mój dziadek został wysłany na pięć lat za karę, że używał w pracy (pocztowiec) języka polskiego. My, dzieci, baliśmy się Niemców i schodziliśmy im z drogi. Pamiętam pewne zdarzenie. Idąc z kościoła (trzy siostry), przechodziłyśmy koło parku, w którym mogli przebywać tylko Niemcy. Spoglądałyśmy ukradkiem przez metalowe pręty. Wtedy upadła mi torebka. Starsze siostry uradziły, że ja jestem najmniejsza i prześlizgnę się do parku, żeby podnieść zgubę. Gdy byłam za płotem, nadeszli spacerujący Niemcy. Mieli dobry humor i puścili to płazem. Najbardziej bała się Halinka, bo najlepiej znała sytuację. Park był tylko dla Niemców.



Pierwsza komunija święta na wysiedleniu

W Generalnym Gubernatorstwie kościoły były otwarte i mogliśmy swobodnie uczęszczać na nabożeństwa, oczywiście do godziny policyjnej. Moje starsze siostry przystąpiły na wysiedleniu do pierwszej komunii świętej, chyba w 1942 roku, a ja 23 października 1943 roku. Miałam osiem lat, ale byłam słabo przygotowana. Ksiądz w ciągu dwóch miesięcy przygotował

całą klasę. Czas był niepewny. Rodzice drżeli o życie, więc podjęli za mnie taką decyzję.

Nasze podwórko było duże, przedzielone w poprzek domem z drewna – „drewniakiem”. Miejsca do zabawy dużo, dzieci też sporo. Bawiliśmy się często w dom. Rysowaliśmy pokoje, korytarze. Czasem bawiliśmy się w Niemców. Podobał mi się ich okrzyk: „Heil Hitler!”. Oj, była bura od rodziców, gdy się dowiedzieli.

Tatuś dużo fotografował, także pasieki, dokumentując swoją pracę. Pamiętam, że latem w niedzielę jeździliśmy z nim rowerem do pracy lub szliśmy do Rajca do naszej pasieki. Tam panowała swoboda, zieleń, łąki. Mama pomagała tacie przy pszczołach. Zdarzało się, choć tylko czasami, że jechaliśmy do Rajca dorożką. To jednak luksus. Rower, jedyny środek transportu, zawsze wnoszono do kuchni. Piwnicy nie mieliśmy. Węgiel i ziemniaki trzymaliśmy w mieszkaniu.

Szkoły polskie też były otwarte. To dla propagandy. Nie uczono jednak historii, geografii. Nie wiem, kiedy nauczyłam się czytać i pisać. Pewnego razu przyszła do nas znajoma pani i widząc małego szkraba piszącego na krześle słowa z elementarza, powiedziała: „Ty mogłabyś chodzić do szkoły”. Tak się przejęłam tą oceną, że na drugi dzień spakowałam swoje książki i zeszyty i zabrałam się z siostrami Halinką i Łucją do szkoły. Mama śmiała się, myśląc, że mnie odeślą. Z racji wieku nie dotyczył mnie jeszcze obowiązek szkolny. Stałam się pewnie maskotką klasy i małej Dorotce pozwolili chodzić. Ciasno było w ławkach, czytaliśmy, uczyliśmy się z przedwojennych gazetek „Świerszczyk”. Po dwóch tygodniach nauczycielka kazała przyjść rodzicom. Zapisała mnie o rok starszą i dostałam natychmiast promocję do drugiej klasy.

W czasie wojny zmarła w Rogoźnie moja babcia. Mama wystarała się o pozwolenie wyjazdu na pogrzeb, zatajając, że jest wysiedleńcem, dla których był zakaz wyjazdu. My dzieci, nie wiedzieliśmy, dokąd pojechała mama. Może najstarsze tak. Nie odczułam rozłąki. Mamy nie było kilka dni. Jechała przez Warszawę, Poznań do Rogoźna. To dla niej niesamowite przeżycie – pogrzeb matki i spotkanie po latach z rodzeństwem, ciociami Tolą, Felą oraz wujkami Tadeuszem i Mieczkiem. Odwiedziła też siostrę ojca, moją chrzestną Tolę Steinową (o tym dowiedziałam się wiele lat po wojnie). Język niemiecki pomógł mamusi. Mama przedłużyła pobyt i zboczyła do Czeszewa, jadąc przez Wrześnię. W Czeszewie nocowała u Zosi. Wieczorem rozeszła się wieść i dobrzy czeszewiaczy odwiedzali mamę. Przynieśli „dary” i wypytywali o wszystko. Mama uczesała się i ubrała, tak jak robiły to Niemki, aby przy kontroli nie wzbudzić podejrzeń. Ten wyjazd dziś oceniam jako wielkie ryzyko. Mama podobno przywiozła bardzo dużo „darów” od rodziny i sąsiadów. Bardzo cenny okazał się kocioł do prania, używany także do mo-

czenia plastrów wosku. Mamusia przywiozła nam śliczną lalkę z porcelanową głową.

Zabawek miałyśmy dość dużo, jak na wojenny czas. Były to książeczki, gry, malowanki, mebelki, trzy lalki i – o dziwo – dwa pudełka puzzli, także układanka ze zwierzętami świata. Zabawki dostawałyśmy przy szczególnych okazjach: imieniny, Boże Narodzenie. Mieszkając przy ulicy Słowackiego, pewnie przez trzy gwiazdki mieliśmy choinkę z ozdobami z papieru. Paliły się prawdziwe świece i śpiewaliśmy kolędy.

Finansowo też się nie przelewało, bo mama wpadła na pomysł, aby także zarabiać. Umiała szyć. Pewnie podpatrzyła w sklepach rękawice skórzane o jednym paluchu ozdabiane haftami. Nie wiem, skąd miała skóry, pewnie kontakt ze wsią pomógł. Baranie farbowała korą dębową. Były też królicze skórki pięknie garbowane, delikatne, takie dla dzieci. Znalazła sklep, który kupował od niej rękawice. Razem z Halinką robiłyśmy torby – siatki z kolorowego papierowego sznurka – takie na zarobek. Halinkę nauczyła mama także szydełkować. Tatuś przygotował grubą deskę, nabił gwoździ. To było „mustro”, wzór. Fasony toreb, torebek wymyślała mama. Ja też nauczyłam się podstawowego splotu sznurków i proste części powierzono moim rączkom. Byłam dumna. Ścieg ten „odświeżyłam” w pracy w szkole po wielu latach, a także w robieniu ozdobnych bibelotów do wystroju domu.

Jadziunia chorowała na katar kiszek – tak to się wtedy nazywało. Mama chodziła po mleko i pszeny chleb do punktu Caritas. Lekarstwa dla Polaków pozostawały niedostępne. Dla wzmocnienia przetaczano krew z żyły mamy do żyły Jadziuni. Wówczas nie prowadzono badań i dziś, gdy opowiadam, nikt nie wierzy, nawet lekarze, że takie praktyki się odbywały. Zachował się jednak list mamy do siostry Feli, w którym opisywała ten sposób leczenia. Pewne zdarzenie opowiadała mi Halinka, która była z mamą w sklepie spożywczym. Znajoma pani za ladą znała mamę. Kończył się pewnie chleb lub mleko, bo jakaś Niemka kupowała więcej. Mama bardzo potrzebowała dla Jadzi tych produktów. Zrobiła po niemiecku awanturę, domagając się podzielenia. Halinka wystraszyła się, bo starsza o cztery lata rozumiała sytuację. Gdyby wtedy żandarmi wylegitymowali mamę? Dla dziecka ryzykowała.

Caritas organizował wyjazdy na kolonie i do zamożnych osób prywatnych. Pamiętam trzy miejscowości, pewnie w trzech latach: Zagnańsk, Janowiec nad Wisłą i Garbatka. Z powodu ograniczonej ilości miejsc z każdej rodziny mogło jechać dwoje dzieci. Do Janowca pojechałam sama, to znaczy kilka dziewczynek rozwożono do różnych osób i miejscowości w okolicy. Chodziło o odżywienie dzieci wysiedleńców. Mnie zaprosiło małżeństwo z lekarzem jako głową rodziny. Sama się teraz podziwiam, że nie płakałam i chciałam jechać. Pewnie wtedy miałam sześć lat. Panował tam dobrobyt, duże mieszkanie, tylko brak dziecięcego towarzystwa (roczne

dziecko plus babcia). Za oknem duży ogród. Wymyślałam zabawy i pisałam listy do rodziców. Gdy gospodarze przywieźli mnie, doktor z żoną zapytali, czego nie lubię jeść. Odpowiedziałam, że prażuchy (gęsta papka z czarnej mąki okraszona skwarkami, ja wolałam posypaną cukrem), którą musiałam jeść w trudnym okresie. W Janowcu bez rodziców byłam sześć tygodni. Gospodarze rozpakowali moją walizkę i podziwiali sukienki (po starszych siostrach, przysłane z Poznańskiego). Po trzech tygodniach przyjechała do Janowca Halinka, do właścicieli młyna. Spotykałyśmy się i zapanowała radość. Do domu wracałyśmy obie. Innym razem na kolonie do Garbatki pojechała Halinka i Lucia. To były wyjazdy co najmniej trzytygodniowe. W niedzielę z tatusem pojechałyśmy do Garbatki w odwiedziny. Lucia chciała jechać do domu, a na jej miejsce zostałam ja w jednej sukience. Mama przysłała później paczkę z ubraniami.

Niedaleko, może 10 km od Radomia, leżała miejscowość letniskowa Jedlnia. Rodzice u znajomego pszczelarza wynajmowali pokój, organizowali jedzenie. Wokół domu las i łąki. Mama raz przebywała z nami, czasem jechała do Radomia. Była jeszcze inna przyczyna naszego wyjazdu – rok 1944. Niemcy cofali się na całym froncie. Rodzice chcieli przeczekać na wsi, bo bezpieczniej. Wiadukt, koło którego mieszkaliśmy w Radomiu, zaminowano. Nasz dom znajdował się około 50 metrów od niego. Tatusz dalej pracował, ale widział, jak Niemcy palą akta. Dojeżdżał codziennie do Jedlni rowerem.

Latem 1944 roku do lasu koło naszego domu w Jedlni zajechał oddział niemieckich żołnierzy i rozłożyli się obozem. Były też zamaskowane czołgi, namioty, okopy i kuchnie polowe. Nie robili nam „wstrętów”, a wartownicy w nocy czasem przychodzili do nas do domu. Cicho rozmawiali po niemiecku. To żołnierze innych narodowości, znajdujący się w wojsku przypadkiem, jeden był Włochem. Czasem coś rodzicom przynieśli do jedzenia. Kazali przychodzić po kawę. Kilka razy mama wysłała mnie do kuchni. Jeden z zaprzyjaźnionych wartowników przyniósł kiedyś ciepłe buty do kolan – dziecięce filcowe „kapce”. Mnie pasowały – nie znałam ich pochodzenia. Dziś myślę, że zabrano buty innemu dziecku, może w obozie?

W końcu lata 1944 roku Rosjanie dowiedzieli się o stacjonującym oddziale. To było właściwie zaplecze kwatermistrzowskie – szewcy, krawcy, dużo sprzętu, magazyny. W lesie, w pobliżu obejścia, wykopano rowy w zygzak. Pewnej nocy zdarzył się nalot. Do dziś pamiętam. Nie wiem tylko, czy Niemcy stacjonujący w lesie byli jeszcze, czy nie. Siedzieliśmy w rowie z rodzicami i innymi ludźmi. Ktoś krzyknął: „Uciekać w pole!” Niektórzy uciekli, ale potem wrócili. Spadły bomby, zrobiło się bardzo jasno. Bałam się. Rodzice przytulali nas do siebie. Huk rozrywających się pocisków, płacz dzieci, warkot samolotów. Ja wtedy przechodziłam koklusz. Siostry po trzech tygodniach wyzdrowiały, a ja męczyłam się sześć tygodni i dostawałam ataki w rowie. Na drugi dzień po nalocie mieszkańcy domu zmobilizowali się

i zaczęli budować „solidny” schron. Szersze rowy, wybite ściany deskami ocieplone, ławeczki, dach, dwa wejścia. Dzieci miały przykazane, aby zawsze bawić się wokół schronu i w razie czego tam uciekać. Już wtedy lubiłam bawić się w szkołę (oczywiście zawsze byłam nauczycielką).

Gdy front przesuwał się na zachód, Niemcy budowali umocnienia i werbowali – po prostu zabierali ludzi na przymusowe roboty, także do Rzeszy. Pamiętam, że okoliczni mężczyźni skrzyknęli się i oddalili od rodzin, gdzieś poza wioskę. Wiem, że tatuś zabierał jedzenie, odzież, koc. Mamusia udawała chorą, leżała w łóżku, gdy przyszła wiadomość, że znowu będą wywozić do pracy. Kobiety też zabierano do kopania rowów, umocnień. Ja jednak nie wiedziałam, co się dzieje. Mama leżała, na stoliku były lekarstwa, termometr.



Rodzina Koszczyńskich zimą w Radomiu

Przed zimą pojechaliliśmy do Radomia. Znowu mieszkaliśmy w starym mieszkaniu na Słowackiego 18. Zawsze po latach chciałam tam pojechać, ale nie udało się. My, dzieci nie odczuwaliśmy zagrożenia, lecz z opowieści rodziców wiem, że nie było różowo. Niemcy wprowadzili zarządzenie o zaciemnianiu okien. Rodzice drżeli każdego dnia. Minęły święta Bożego Narodzenia 1944 roku. Rano i wieczorem dochodziły odgłosy zbliżającego się

frontu. Zapamiętałam zbliżający się nalot i wyjące syreny, gdy byliśmy na obiedzie w stołówce. O żywność było trudno i rodzice skorzystali z takich możliwości. Bardzo się bałam, bo mama w drodze do domu odłączyła się od nas i biegła do sklepu po należne pieniądze za rękawiczki i torby. Zaraz po powrocie do domu rodzice naklejali na szyby papierowe pasy na krzyż, aby uniknąć pęknięcia. Nasze okna wychodziły na podwórze.

Powróć jeszcze do pobytu w Jedlni. Po nalocie, który nas bardzo przestraszył, nie rozbieraliśmy się wieczorem do nocnej bielizny, spaliśmy częściowo ubrani i każdy miał przygotowany plecaczek, w którym było trochę żywności. Mama upiekła piernik na miodzie, który miał długi okres „gwarancji”, i podzieliła na porcje.

Grudzień 1944 roku. Niemcy wyjeżdżają normalnie na urlopy do rodzin w Niemczech. Każdy chce zabrać wiaderko miodu. Tatusz głowił się, skąd go ma wziąć o tej porze i w takiej ilości. Pojechał w teren do zaprzyjaźnionych pszczelarzy i zebrał wiaderko (od marmolady) miodu. Takich Niemców było więcej. Front się zbliżał i Polacy przypuszczali, że Niemcy już nie wrócą z urlopu i do wiaderka nasypali w zamian miał węglowy.

W styczniu 1945 roku do Radomia wkroczyła Armia Czerwona. Nie pamiętam daty, była to końcówka miesiąca. Radom wcześniej zaminowano. Wiem to z powojennych relacji rodziców. Krótco przed nadejściem Rosjan wszystkich mężczyzn Niemcy zamierzali wywieźć na roboty, a miasto wysadzić w powietrze. Czerwonooarmiści zaskoczyli Niemców i okrążyli Radom. Jeden Polak, bohater, w ostatniej chwili przeciął kabel i miny unieszkodliwił. Nie wiem, jaki go los spotkał.

Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze, a piwnicy nie było w tym domu. Rodzice przygotowywali się na najgorsze. Z jedzeniem, niezbędnymi rzeczami skupili się lokatorzy domu w mieszkaniu parterowym z oknami od podwórza. Z ulicy na podwórze prowadziła brama drewniana, później sforsowana. Pamiętam, że bardzo się bałam. Mama ogarniała nas swoimi ramionami, przytulała do siebie. Mężczyźni radzili, zastanawiali się co dalej, jak się skończy to piekło. Okna zasłonięto. Wiem, że mama między wybuchami biegła do góry, przynosząc rzeczy bardzo potrzebne lub prowiant. Ludzie wykazywali wówczas dużą solidarność. Nie wiem, jak długo siedzieliśmy w tym mieszkaniu. Pewnego wieczoru ktoś dobijał się do drzwi na drugim końcu mieszkania, znajdującego się blisko bramy. Usłyszeliśmy krzyki po niemiecku, po jakimś czasie po rosyjsku. Nakazano nam bezwzględna ciszę. Drzwi nie otworzono i nikt się nie odzywał. Tam znajdowało się kilka rodzin z dziećmi. Nie wiadomo, co zrobiliby. Niemcy zdesperowani. Rosjan też się baliśmy. Oni szukali Niemców, ale... Gdy dobiegły końca działania wojenne i nastała cisza, po dwóch, trzech dniach rodzice wyszli zobaczyć zniszczenia. Wiadukt stał, miny nie wybuchły. Oswajaliśmy się z myślą, że nie ma Niem-

ców. Po ulicach jeździły czołgi i inne wojskowe pojazdy. Brakowało jedzenia. Sklepy, niektóre rozbite, żywność rozkradziona.

Ojciec bał się jechać na wieś, bo mógł być zmobilizowany do wojska. Podobno bezpieczniej było wybrać się kobiecie. Panował mróz. Mama z Lucią na sankach pojechała zdobyć coś do jedzenia. Halinka zaś opiekowała się mną i Jadzią. Tatus nie chodził do pracy, ale z przygotowaniem jedzenia sła- bo sobie radził zawsze. Mama przewróciła się na szosie i złamała nogę. Wczołgała się na sanki, aby noga leżała poziomo. Nie wiem dokładnie, ale ktoś udzielił pomocy. My czekaliśmy długo na jej powrót. Było już ciemno, gdy ktoś przyprowadził Lucię i powiedział, że mama w szpitalu. Oczywiście gips – złamanie w dwóch miejscach, bardzo źle złożone. Dziś powiedzielibyśmy – osteoporoza. Pewnie pięć lat złego odżywiania i urodzenie piątki dzieci miało wpływ na stan kości.

Zaraz po wyzwoleniu Radomia rodzice zaczęli myśleć o powrocie do Czeszewa. Złamana noga mamusi stanowiła jednak wielką przeszkodę. Wyszedłszy skrzyknęli się i zaczęli załatawać wagon. Potrzebne były jakieś pieniądze, aby „posmarować” maszyniście. Czekaliśmy aż Wielkopolska została wyzwolona. Termin wyjazdu zbliżał się. Mama postanowiła jechać z gipsem – pewniej dla nogi. Podobno cały czas dyrygowała pakowaniem. Nie było mebli, same skrzynie, kosze zamykane, walizy. Zapomniałam... mieliśmy dwa ładne drewniane łóżka, które rodzice kazali zrobić (oczywiście rozłożone). Służyły one rodzicom do lat siedemdziesiątych, do przeprowadzki do Jarocina. Jeszcze w Radomiu, po wyzwoleniu, przyszła pocztówka od księdza Błażejewskiego z Czeszewa, który pierwszy powrócił z Lubelskiego. Znalazł nasze pianino. Jaka wtedy nastąpiła radość rodziców. Ten ksiądz na wysiedleniu pomagał nam i odwiedzał. Przynosił mąkę, wielkie okrągłe chleby i „klepki” masła.

Podróż z Radomia do Czeszewa trwała też pewnie dwa, trzy dni, ale w innej atmosferze. Było ciepło, bo na środku wagonu stał piecyk żelazny. Nie głodowaliśmy. Raz wagon odczepiali, raz doczepiali. Z wysiedlenia wracali przeważnie poznaniacy. My chcieliśmy wysiąść w Jarocinie. W nocy znaleźliśmy się na stacji w tym mieście. Bardzo pomocni okazali się miejscowi kolejarze. Bagaż był zwarto ułożony, a my z mamą w poczekalni. Mama przez całą podróż siedziała na skrzyni (z walcami do węzy). Halinka z Lucią na zmianę towarzyszyły tatusiowi przy pilnowaniu bagażu. Tatus miał zapas miodówki, którą częstował towarzyszących kolejarzy z ochrony kolei. W poczekalni znajdowało się pełno żołnierzy rosyjskich. My, dzieci, spaliliśmy na podłodze, tarasując przejście, a wśród nas mama z unieruchomioną nogą. Tatus odesłał siostry i został sam przy bagażu. Uczynny kolejarz zabezpieczył rower ojca, kazał zdjąć łańcuch, dzwonek itd. Ostrzegł, że będzie to przedmiot pożądania Rosjan. Ojciec chodził po peronie, bo zasypiał.

Rano obudził go jakiś kolejarz śpiącego na torach daleko poza peronem. Bóg czuwał nad nim i nad nami. Nie najechał go pociąg, a bagaże były nietknięte.

Stacją docelową miało być Orzechowo, do którego nie dojechaliśmy, bo Niemcy wysadzili w powietrze most na Warcie. Pociąg dojeżdżał do miasta i potem prowizoryczną kładką trzeba było przejść na drugą stronę. Zaczęliśmy przenosić drobne bagaże, aż nagle zjawił się rybak z Czeszewa, który odnalazł pod mostem swoją łódź. Załadowali bagaże na łódź, także mamę z sześciolletnią Jadzią. Na Warcie płynęły kry, bo to marzec. My, to znaczy trzy siostry z tatusiem, ruszyliśmy pieszo nad wałem do Czeszewa. Wiem, że byłam bardzo zmęczona i zazdrościłam Jadzi, że sobie płynie. Nad wałem mijaliśmy dom, w którym mieszkał tak zwany „wałowy”. Tatuś nasunął czapkę na oczy, nam kazał czekać za furtką i wszedł niby kontroler do znajomego człowieka, zarzucając to i owo. To był żart oczywiście... Gospodyni nakarmiła nas do syta ciepłym posiłkiem – chyba jajecnicą. Już wtedy od „wałowego” tatuś dowiedział się, że w szkole w Czeszewie mieszkają niemieccy przesiedleńcy. Zajechaliśmy do miejscowego nadleśnictwa i przez dwa, trzy tygodnie mieszkaliśmy u państwa Borczyńskich, znajomych sprzed wojny.

Więść o naszym powrocie rozeszła się błyskawicznie. Ludzie spieszyli z pomocą, ciesząc się, że po pięciu latach znowu będzie polska szkoła. Władze gminy dołożyły starań, aby ściętnić niemieckie rodziny, przyspieszyć wyjazd przesiedleńców i pomalować dwa pokoje i klasy. Tatuś jeździł rowerem po okolicy i dowiadywał się, gdzie wywieziono nasze meble. Odnalazł te do jadalni i szafę do sypialni, a wcześniej pianino odzyskał ksiądz Błazejewski. Czeszewiacy pomogli urządzić się nam na nowo. Zadbali o uprawianie szkolnej ziemi, przywieźli drewno na opał. Niemcy byli świadkami wykopywania skrzyni z porcelaną. Zakopano ją jeden metr w pomieszczeniu zwanym drewnikiem. Tam nie było podłogi, tylko ziemia. W czasie wojny drewnik był stajnią dla koni. Niemcy zapytali: „Czy wiedzieliście, że tu wrócicie?” – „Oczywiście” – odrzekł ojciec. Wiele porcelanowych pamiątek jest jeszcze do dziś. W schowanej skrzyni zbił się tylko jeden kieliszek.

W kwietniu „ruszyła” szkoła. Nie było ławek. Ludzie przynieśli stoły. Każdy uczeń musiał przynieść krzesło. Przedtem ojciec przepytывał uczniów ze stanu ich wiedzy i przydzielał do odpowiedniej klasy. Kto znał cztery działania z matematyki, szedł do czwartej, najwyższej klasy. Ja też tam trafiłam. Byłam najmniejsza w klasie. Wielu uczniów było spóźnionych o całe pięć lat wojny. Tatuś uczył nas wszystkich przedmiotów do czerwca, do wakacji. Od września siostry Halinka i Lucia rozpoczęły naukę w gimnazjum we Wrześni. Najpierw dojeżdżały (z Czeszewa powózką – bryczką zaprzęzoną w osiołki, razem z chłopcami z nadleśnictwa) do Orzechowa i dalej do Wrześni pociągiem. Po dwóch, trzech miesiącach zamieszkały u dalszej cioci we Wrześni. Ze względu na niedogodności dojazdów i wykształcenie dora-

stających córek rodzice musieli pożegnać Czeszewo i przeprowadzić się do Wojciechowa, gdzie na miejscu znajdowała się stacja kolejowa.

Pewnego dnia zatrzymały się w Czeszewie resztki oddziału rosyjskiego. Żołnierze przyszli do szkoły. Wszystkich wystraszyli. Szukali bimbru. Tatus pod tym względem był kiepskim organizatorem, ale postarał się. Rosjanie przynieśli ojcu dużo pięknego papieru, tektury, ołówki. Tatus szył nam zeszyty szkolne jeszcze bardzo długo (jeszcze w szkole średniej w Krotoszyźnie). Mama nakarmiła „ważniejszych” żołdaków, którzy legli pokodem na podłodze w kuchni.

Od tamtych wydarzeń minęły długie lata, a ja nie zdążyłam dzieciom opowiedzieć, co przeżyła moja rodzina w czasie II wojny światowej. Może kiedyś przeczytają też nasze wnuki, prawnuki...